Lwów, 30. Czerwca. №77. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za na stęp. po 1 1/2 kr. i zadopłate 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

VII.

NIESZCZĘŚCIE.

(Ciąg dalszy.)

Kazimirz zamiast odpowiedzi odwrócił twarz od mówiącego, aby ukryć łzę, która jego powieki zwilżyła. Była to łza pożegnalna dla czasów minionych, i łza rozpoczynająca w jego życiu nową epokę.

— Najprzód nie będziesz tego nieszczęścia domowego nigdzie rozgadywał, ciągnął dalej jego towarzysz, bo jużciż sam upadek nie jest jeszcze tak bliskim, jak ty w gorączce go widzisz. Procesa pociągną się czas niejaki, a tymczasem trzeba być choć na pozor dobrej myśli. Zarabiać wprost nie możesz, ale trzeba jakoś obejść tę kwestyą zarobku, aby była z korzyścią na dzisiaj, a z pożytkiem na przyszłość. Uczynię to przez moją znajomość, że możesz się umieścić w biórze adwokata, rozumie się „gratis" bo kilka reńskich zapłaty byłoby dla ciebie nieprzyzwoitością. Jako woluntaryusz więc możesz się zaprawić, inaczej służba płatna popsułaby ci fantazyą, która się stała twojem życiem. Wieczorami mógłbyś pracować w domu. Postaram ci się o pracę stosowną, naprzykład o łatwy lub treściwy wyciąg z jakiej książki podręcznej, jako naukę dla klas niższych i tym podobne drobne elaboracye, które i wiedzę twą wzbogacą i do subwencyi ci coś dorzucą.

— Ale chciej zważyć, Robercie, że dochód taki zaledwie wystarczyłby na drobne wydatki, a cóż mówić o życiu i pomieszkaniu? —

— O to ja starać się będę, odparł krótko chory.—

Młody ex-dziedzic spojrzał zadziwiony na biednego plebejusza. Zrozumiawszy to spojrzenie Robert, rzekł głosem pełnym wzruszenia: —

— Niech cię to nie zadziwia kochany Kazimierzu, że syn najbiedniejszego osadnika z twojej niegyś dziedzicznej włości, poważa się dzisiaj ofiarować ci pomoc, której potrzebujesz, a której od kogo innego wziąć nie możesz. Nie myśl także, że się wywiązuję z wdzięczności za to, że z łaski twego ojca dzisiaj więcej umiem, niżeli równi mnie urodzeniem. Za dobre bowiem i szlachetne chęci tak się nie odpłaca, a rezultat tych chęci nie jest bynajmniej mojem szczęściem! Może więcej spokoju i swobody duszy przyniósłby mi mój stan pierwotny! —

I otarł łzę uczony proletaryusz a na wybladłe lica wystąpił rumieniec gorączkowy. Była to w wspomnieniach obu towarzyszy młodości chwila nader uroczysta. Jeden z nich stał strącony nagle w przepaść bez światła, śród nieprzejrzanych ciemności, i rozcierał oczy, ale nic niemógł dojrzeć, najbliższego swego jutra. Drugi wiedział dobrze, co mu w drodze zawadza, ale zamiast użyć przemysłu do usunięcia zawad, wymykał w pocie czoła kamyk po kamyku, i zdało mu się, że pracą i wytrwałością całą górę na skróś przebije. Zamarzyli obaj; jeden o tem co utracił; drugi o tem, czego jeszcze niezdobył! —

— Zdajesz się nie wierzyć moim słowom, przemówił po chwili chory, i myślisz, że mówię w gorączce. Dziwnoby ci się wydaje, jakim sposobem może biedak, który lat sześć w jednem surducie chodzi, ofiarować ci pomoc, która widocznie jego siły przechodzi? — Tak nie jest mój bracie. Nie miałem ja w życiu wiele potrzeb osobistych, a co się zarobiło, to się oszczędziło. Bliższych obowiązków na świecie nieznam, bo najbliżsi moi krewni pomarli; chata w której się urodziłem, zapadła i zrównała się z ziemią, a grób tych, co mi życie dali, zarósł cierniem i głogiem.

— I po cóż budzisz tak nie miłe wspomnienia?

— Nie miłe wspomnienia? otóż to zgubne maxymy! Rozczulić serce wspomnieniem bolesnem, spojrzeć na łzę ubiegłą, wzbudzić w sobie uczucie wielkie i szlachetne posępnego nastroju, to u ciebie strata czasu, bo przy takich wspomnieniach niczego się nieużywa! O zapewniam cię, kto unika przyrodzonej boleści życia na ziemi, kto swe serce strzeże od wzruszeń bolu, który je uszlachetnia, ten nie pojmie żadnego szczęścia duszy, ten nie zna, co jest „życie na ziemi" niczego więcej nie zapragnie!

Właśnie dla tego, że są chwile, w których pragniemy czegoś więcej, niżeli tego, z czegośmy pierwej zadowoleni — właśnie dla tego nie mogę przyjąć twojej tak szlachetnej ofiary. Możebyś kiedy zapragnął więcej używać niżeli dzisiaj, a w tedy nie miałbyś czem twoich nowych potrzeb zaspokoić.

— Używać?.. nie rozumiesz mnie. Ja miałbym używać?... ja, który do dziś dnia wyobrażenia nie mam, jak można używać? Ja nie wiem, nie znam, jak używać! Oszczędzone moje pieniądze leżą i pleśnieją, a gdyby mnie kto kazał dzisiaj je stracić, nie wiedziałbym na to sposobu, chybabym rzucił do wody, jak ów grecki filozof! Używać, to dla mnie myśl niezrozumiała! — Ha, ha, ha, — używać i na to trzeba przywileju! —

— Dziwaczysz Robercie; prędzej mnie by przystały te wykrzykniki, gdy mi o pracy mówisz, niżeli tobie, gdy ci wspominam o chęciach użycia. Mnie to teraz powiedzieć, że aby pracować szczerze i uczciwie, to na to potrzeba przywileju, na którym mnie może braknie jak i wielom z tych, co się w dostatkach porodzili.

— Słusznie, i bardzo słusznie masz. Oba zdania stoją zgodnie obok siebie i niesprzeciwiają się sobie; zachodzi jednak ta między niemi różnica, że ja się już nienauczę używać, a ty możesz się nauczyć pracować. —

— I chce nauczyć się! dodał jasnowłosy młodzieniec, a jeźli się stanę człowiekiem użytecznym, to będzie twoją zasługą, nagrodą za twoje szlachetne serce. —

Ciemnobłękitne oczy chorego roziskrzyły się dziwnym płomieniem. Podniósł się w górę, i objął schylonego na jego piersi młodzieńca, a dwa szlachetnie w tej chwili czujące serca biły do siebie przez chwil kilka w jak najpiękniejszej harmonii.

Kazimierz jako roślina wiotka i wątła ugiął się nisko pod ogromem nieszczęścia, które nań spadło, ale dzięki tak przyjacielskiej podporze, pień jego życia niezłamał się wcale. Cierń nieszczęścia obudziła w nim uśpioną w pieszczotach losu duszę, a ta poczuwszy się na siłach, wzięła za ster życia, by je doprowadzić do portu przeznaczenia swego, a którem jest: pracą być użytecznym ogółowi. —

Jakby po wykonaniu tak pięknego czynu nowe weń życie wpłynęło, uczuł się chory zdrowszym na siłach, wstał i począł się ubierać. Piękna jego twarz wyszlachetniała jeszcze, a nawet postawie przybyło wdzięku. —

VIII.

LEKCYA POEZYI.

Tymczasem antykwaryusz Berek uzupełniając ze swoich składów biblioteczkę obywatelki z Przemyskiego, musiał często Jejmości a częściej jeszcze Jejmościance zdawać dokładne o swoim przyjacielu raporta. Bo też Berek jedynym był może chorego znajomym, który go raz lub dwa razy na dzień odwidzał. Było wtem coś sympatyi każdego antykwaryusza do uczonego z książek, którego siwe poszyty już w swojej antykwarni widział, jako unikaty wartości archeologicznej, a częścią i potrzeba rady w nabyciu starych książek i ich prawdopodobnej wartości. Mimo najlepszych względem naszego uczonego chęci krążył jednak Berek już z istoty swego charakteru około literata, jak krąży potwór morski w około rozbitego okrętu, czekając na żer pewny i smaczny. Ale tak widocznie złych zamiarów niemożna naszemu antykwaryuszowi przypisać, jeźli to czynił, to czynił z instynktu a nie z wyrachowania.

Zdając obom paniom raporta, wydawało mu się trochę dziwno, że córka wchodziła w drobniejsze, niżeli matka szczegóły, a sądząc, że to interesowanie się pochodzi z powodu owej smiesznej kalastrofy, i wesołej dziewczynie służy za podniętę dobrego humoru, zbywał ją jak mógł najkrócej. To też i przed Robertem nie z szczególniejszą predylekcyą rozmawiał o młodej swawolnicy, na co jednak tenże nie wiele uważał, kładąc to na karb antykwariuszowskiej jego natury, która alterowała się na widok każdej nowej, świeżej broszury, i w tem tylko istotną widziała wartość, co co się okryło pyłem starości i niezaprzeczonej powagi. —

Piękne, prawdziwie szlachetne dusze porozumiewają się i odgadują wzajem swoje dzieje odosobione i przychodzą dziwnym sposobem do ich świadomości. Prawda, że wyzdrowiały jurysta, wyszedłszy po dniach dziesięciu po raz pierwszy na ulicę, dziwny miał wyraz na swojej bladej twarzy. Malowała się na niej jakaś myśl niezwykła, nader interesowna, nadająca jego pięknym rysom urok ponętny. Była to jakaś duma szlachetna, która nawet jego postać wyprostowała, a ruchom nadała więcej pewności. A wszystko to wypływało z wewnętrznego spokoju duszy, który następuje po każdym dokonanym, dobrym czynie, i wartość tejże podwyższa do prawdziwej potęgi.

Widząc tak usposobionego Roberta odgadła młoda dziewczyna, że w jego duszy zaszła jakaś zmiana dlań korzystna. Przeczuwała ona jakiś wypadek, piękny nauczyciela charakter w wysokim stopniu zadowala, i cieszyła się skrycie z czegoś dobrego, czemu jednak nazwy nadać nie umiała. Uczyniła nawet postrzeżenie, że Robert w jaśniejszych, niżeli przedtem obrazach kreślił jej pojęcie literatury, poezyi, i drogiej nadewszystko narodowości, rozmawiał o jej cechach i znamionach z takim zapałem, tak pięknym i barwnym kolorytem obrzucał oschłe naukowe wyobrażenia, że młoda uczenica pojętnym swoim umysłem nie mogła naraz ogarnąć tyle przecudnych skarbów, tyle drogich klejnotów, które tęczowych połyskach mknęły przed jej duszą miękką i w wrażliwą. Biedny jurysta siedzący naprzeciw niej, i patrzący dzisiaj z jakąś nie zwykłą śmiałością w jej piękne, na pół zmrużone, czarne oczy, wydał jej się jak możny władca, który w spokojnem uczuciu swojej potęgi, otwierał przed nią zachwycające widoki duchowej swojej krainy, Nielękał on się tam żadnego spotkania, bo wszystko mu było tam znanem, wszystko tam należało do niego, częścią przyswojone pracą, częścią utworzone w chwilach natchnienia, To

też taki wykład, z takiego pochodzący serca, wnikał także do serca i duszy i te tem łatwiej, jeżeli te były tak pięknie usposobione jak je miała piękna młodocianna Julia.

Odtąd z niepowstrzymaną rozkoszą czekała Julia swego nauczyciela, a opierając się jak dobre dziecko, na rozsądnem zdaniu matki, przykładała się z wielką pracą i z zamiłowaniem do nauki.

Poeta zaś zamiast odczytać jej lub powtórzyć pierwszy lepszy rozdział jakiej książki podręcznej, układał dla niej z wielką pracą tak przecudne obrazy wiedzy i nauki, tak stosownych do jej wrażeń i pojęć dobierał wyrazów i zwrotów, że dziewiczy jej umysł nie mógł otrząść się z tego pijanego uroku, ani przyjść do równowagi moralnej, bez której żadna zimniejsza nie jest możliwa reflexja.

Jest to własnością wszystkich duchów wyższych po udzieleniu się słabszym, podbijać je i prowadzić obok siebie w więzach niestarganych. Uczucie takie być od ducha wyższego zwyciężonym i zawisłym jest nader słodkie, a w uczuciu tem rozwiązuje się ta nieodgadniona tajemnica, dla czego tak pojedyńczy ludzie jak i całe narody, zwyciężając innych siłą fizyczną z niepojętą rozkoszą dali się zwyciężyć i wszelkich oznak swojej wielkości pozbawić przez potęgę i wyższość ducha tych, których fizycznie zwyciężyli.

Możemyż się więc dziwić, jeżli Julia z sercem otwartem, wrażeń chciwem, z duszą podniosłą i niezwykłych szukającą uroków, widziała się z każdym dniem więcej zawisłą od nieznanego jej człowieka; jeżli była smutną przez dzień cały, gdy w jego słowach pochwyciła jakiś dysakord, który o jego wewnętrznym świadczył rozstroju?— Wszak żaden z dotychczasowych jej znajomych nigdy tak niemówił, żadnemu mówiącemu do niej nie zabrzmiał głos takim serdecznym wyrazem, nie napełnił się tak porywającem uczuciem, a któremu by w sposób tak dziwny wtórowały i wyraz twarzy i wyraz oka! Wprawdzie był ten wpływ za jednostronny, nie towarzyszył mu ani zewnętrzny blask postaci, ani tak konieczny urok pozycyi społecznej. Ale jednostronność ta znalazła dobre dla siebie warunki. Jakkolwiek Julia ze względu na wiek swój powinna była więcej zawisać okiem na formach zewnętrznych, żyjąc jednak śród licznego towarzystwa od najpierwszej młodości tyle nakarmiła się formami krajowych i zagranicznych żurnalów, tyle się nasłuchała dyalogów stereotypowych, że wszystkie te fraszki traciły zwolna dla niej pozorną swą wartość, a umysł jej ruchliwy i nieustannie czynny pragnął nowości niewidzianych i niesłyszanych, a dostawszy, połykał je chciwie i bez względu, że na przyszłość mogłoby to fantazyą jej niepotrzebnie obciążyć.

Więc słuchała więcej niżeli z uwagą, a przy wykładzie była swemu nauczycielowi czemsiś więcej, niżeli uczennicą. Jakieś uczucie nieodgadnione przyciągało ją do tego, z którego ust płynęły tak piękne myśli, a którego twarz, gdy do niej mówił, ożywiona rumieńcem podobną była do różowego obłoku, wpatrującego się z zachwyceniem bolesnem w zachodzące słońce!

Ale poecie nie zachodziło to słońce, on widział wschodzącą jutrzenkę!

W krótkim więc przeciągu czasu zawiązał się między nauczycielem a uczennicą jakiś dziwaczny stosunek wewnętrznago porozumienia się, który jednak tak nieskreślonej i kapryśnej był natury, jak nimi byli oboje pseudokochankowie. Nie można bowiem powiedzieć, że między nimi istniała miłość lub jakie zbliżone do niej uczucie. Wprawdzie marzył biedny poeta coś podobnego, ale to coś było jeszcze tak wielkie chaos, jak jego pobieżne excerpta na małych karteczkach, zanim przyzwoitego nie utworzą poszytu. Więc uczucia jego zeznania w tym czasie były to prawdziwe *excerpta* do jakiegoś wielkiego dzieła, któremu jeszcze ani tytułu nie nadał, ani mu niezakreślił objętości należytej. Nie wiedział ón jeszcze sam czy to będzie tylko fragment jakich studjów, czyli powieść dwutomowa, z wyraźnie wypowiedzianym końcem. Myśl jednak oddalona, lubo w zarysach błędnych, malowała się przed jego duszą w kolorach tęczowych i migała przed omgloną źrenicą połyskiem słońca. Przykuwszy oczy do tego idealnego połysku, olsnął swój wzrok, i nic już na ziemi nie widział, a wyszedłszy raz ze swoich systematów, ogólników a mianowicie ze swojej prawdziwie niemieckiej logiki, błąkał się i tłukł się po jasnym dniu swego życia, jakby był śród najgrubszych ciemności. Jedyną gwiazdkę światła widział on tylko na swojej drodze, a tą gwiazdką była jakaś dziwaczna idea czyli abstrakcya, która jednak co dzień, o godzinie dziesiątej zrana oblekała się w postać i szaty Julii.

Wrażenia te były na pozór bardzo podobne do wspomnień altanki chmielowej, ale w istocie różniły się wielce. Chociaż i tam począł był poeta nowy swój okres ideą i czystą abstrakcyą, chociaż i tam do tej idei jego poczęły już wchodzić rysy Kamili, jednak postać ta była mu narzuconą z góry, sama bohaterka wcisnęła się do głowy ze swoją rolą gościnną, w której tylko przez zręczny podstęp aktorki, wziął udział czynny. Tutaj jednakże miała się rzecz inaczej. Julia nie wyzywała, nie kokietowała; a nim ją obaczył i poznał, już jakieś dziwne powziął był dla niej uczucie, chociaż tylko jej głos był zasłyszał.

Patrząc się zbliska w jej twarz przez całe godziny, nie widział w niej nic takiego, coby go mogło ośmielić do dalszych nadziei; przeciwnie, widział ón w plonącem oku obok energii i myśli podniosłych za wiele rozsądku i praktycznego rozumu, aby mógł ją rozmarzyć ideałami zaświata i serce jej ująć w więzy niewolnicze. — Dla tego też marzył i wzdychał biedny poeta, a nawet i kochał całą duszą i całem sercem; ale chociaż ideałem tej idealnej jego miłości nie był nikt inny jak tylko piękna jego u-

czennica, lękał się jednak ten swój ideał ostatecznie ustroić w postać i w szaty Julii, aby ta żądza duszy jego niespełzła na niczem, a w rozdrażnionem i tak jego sercu niesprawiła bolesnego rozczarowania. Więc wolał się kochać w jak najsubtelniejszej swojej idei. (C. d. n.)

BURZA.

Lecą chmury, a dołami
Słychać wichru szum,
Niebo w dali błyska skrami,
Ptactwa pierzcha tłum,

I okrzykiem przerażenia
Wita ciemny las. —
Słyszę gromy, ziemi drzenia,
Burze, witam was!

Ja sam jeden; niezlękniony
Patrzę w czarną toń,
Pierś mi pieści wiatr szalony,
I kołysze skroń.

Bije groźna błyskawica...
Cicho! — błyska znów:
Ho! przyrody to prawica
Rzuca miljon słów.

Po chmur czarnym pergaminie
Złote pismo drga,
I przez oczy szybko płynie
Aż do serca dna.

Już odbite, rozbudziło
Akord w piersi mej:
Dusza rwie się całą siłą
Do przystani twej.

Burzo dzika! — Hej z wiatrami
Igra moja myśl,
Od nich dziksza ', a ty skrami
Chmuro słowa kreśl.

Niech je czyta, niech je słucha,
Aby mogła tu,
Gdy nastanie cisza głucha
Płoszyć bezczyn snu.

I ogniste wiązać brzmienie
W dzikich pieśni stok...
W łono ciemnic siać płomienie,
Życie siać co krok.

Stój — stój myśli moja dzika!
Oto cisza znów:
Burza milknie — chmura znika,
Pieśni braknie słów.

Mieczysław R...

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

I.

NA WĘGRACH.

(Ciąg dalszy)

Dzięki wielkim wynalazkom wieku dziewietnastego! między któremi nie poślednie miejsce zajmują: żeniaczki polskie, dzięki tej industryi czysto-krajowej, której praktyczna aplikacya naszym „*matkom Polkom*“ najsłuszniej się należy, nasz Felunio wcale się o to nie turbował, jakby to z delfina Wyżniowy na rzeczywistego jej króla wydrapać się.

Stosownie więc do woli i planu mamuninego objął sam na siebie całe gospodarstwo, to jest sam wydawał co dzień wieczorem dyspozycje ekonomowi, sam pisał kwitki do karczmy, a najchętniej assygnacje do lasu, Jankla arendarza częściej łajał, błota jarmarczne juchtowemi butami kurjerskiemi najpilniej miesił, i nareszcie dla zapewnienia sobie wszelkich sukcessów — pro forma — jako jedyny dziedzic Wyżniowy dolnej z przyległościami zaintabulował się (bo musicie wiedzieć że wonczas, gdy nie było jeszcze tax intabulacyjnych, niewinne takie oszukaństwo nic nie kosztowało). Bratu dał za to rewers, a siostry obiecał jakoś wyposażyć, gdyby się miały rozminąć ze starem panieństwem.

Stało się to wszystko wedle absolutnej woli mamy dobrodziejki, bo Wyżniowa była jej wianem. — Nie było to wsystko nader moralne, bardzo czyste; ale ileż takich rzeczy, powiedźcie sami, czy się nie dzieje? Wszak oddawanie majątków synom, z oczywistem *pokrzywdzeniem* córek, nawet w dość poczciwych domach — niestety! — widzieć można.

Wiem ja naprzód że wszystkie mamunie gniewać się będą na mnie, wyjąwszy chyba te, które są obdarzone samemi tylko nieposażnemi córkami; te zapewe — wraz ze mną — kląć będą obrzydłe męczyzniska, co to tylko za marnym gonią groszem. Alem sobie przecież z góry wyprosił wszelkie gniewy, a zresztą: Prawda jest gorzką potrawą, śpiewał Bogusławski.

Ozwie się na to może jaki optymista miejski: Kiedy

tak źle na wsi, dla czego też szlachta innego nie szuka utrzymania, jak tylko wiecznie, to niewdzięczne paprame w ziemi? I ja bym się z nim zapytał podobnie, gdybym nie zadał sobie dotąd stokroć innego pytania: A cóż innego pocznie?

Pójdzie do urzędu? — Ba! ale kiedy to trzeba się uczyć na prawdę, przysiedzieć fałdów, i czas jakiś żyć skromnie o własnym funduszu. A jest że to rzecz szlachecka?..

Pójdzie do wojska? — Ba! jest to rzecz dla szlachetnie urodzonego człowieka fatalna, że nie może odrazu zostać przynajmniej oficerem. Każdy szlachcic przypomina sobie w tym względzie odpowiedź Włodzimierza Potockiego, który w wieku młodziutkim jeszcze, gdy wystąpił na paradzie w Warszawie jako jenerał artyleryi, wzbudził naturalnie nie małe zadziwienie w jakimś cudzoziemcu:

— „Il faut toujours commencer par quelque chose!“ odpowiedział dumnie zdziwionemu jegomości.

Pojdzie może do rzemiosła, albo do handlu? — A cóż zrobi z tarczami herbowemi? co powiedzą karmazynowe antenaty? A pfe! ta myśl, ba nie myśl nawet, ale samo wspomnienie przejmuje świętą dreszczą rycerskich potomków. Ja zaś z praktycznego stanowiska zapytam się: A jakimże zostanie rzemieślnikiem, by dójść do grosza?

Krawcem może? Tempi passati! Tandeta nas wkrótce wszyskich ubierać i rozbierać będzie.

Kotlarzem? Nie, bo gorzelnie upadają, nowych nikt nie stawia, a stare kotły łatać, to lada żyd w miasteczku potrafi.

Szewcem może by było najlepiej, bo za szewcami przemawiają najsilniejsi protektorowie: w lecie, błoto, w zimie śnieg, a powtóre d o t ą d wszyscy mniej więcej jeszcze w butach chodzimy, lecz tu znowu: incidit in scyllam qui vult vitare charibdim — jak bowiem może się szewc zwać: Wielmożnym Chromackim herbu Niedołęga, oczywiste splamienie Niedołężnego klejnotu, i dla tego też mój pan Felix nie zostanie szewcem, tylko dziedzicznym panem — i zobaczycie że tego dokaże.

Wróćmy teraz do dwóch sejmujących pod prezydencyą trzeciej z kolei bardiówki.

— Owoż, zagadł po raz setny pan Felix — muszę się koniecznie d o b r z e ożenić. Jestem stworzony na pana, czuję ku temu wewnętrzny popęd i zdolności wrodzone, Niech kto inny pełza w biedzie, moje jest wyższe przeznaczenie.

Zrobię tu uwagę, że nic tak nie dodaje wymowy i dzielności w argumentach, jak dobre w obradach przewodnictwo. Wiwat bardiówki, oczywiście nie próżne!

— Prawda! wielka prawda! rzekł pan Józef Szpakowski. Ja to rozumiem najlepiej, który w krótce będę adwokatem i zrobię majątek — i utopił wzrok w wysychającej już bardiówce.

— Jako najstarszy — ciągnął dalej pan Felix, muszę utrzymać przy Wyżniowy, lecz czem siostry pospłacam które pomimo najheroiczniejszych wysileń, bez posagów nie pozbędą się ponoś dokuczliwego stanu, a wrazie wyjścia której trzeba mi koniecznie gotówki.

— Oczywiście musisz się ożenić, i pan Józef pociągnął ręką ku czwartej z kolei bardiówce, na boku stojącej.

— W tym więc celu, mówił pan Felix, a natchnienie łyskało mu z oczów, zrewidowałem wszystkie sąsiednich panien tabule. Z tej, że sumiennością szparkassową przedsięwziętej rewizyi pokazało się: że fatalnie mają zabazgrane! To nie dla mnie! ja lubię c z y s t e tabule. Jako prawdziwy demokrata nie cierpię szlacheckich długów i jestem zażartym zwolennikiem kojarzenia się z cudzoziemkami; bo dla czegoż i koniecznie ma istnieć ten feudalnych czasów godny zwyczaj, by się wyłącznie kojarzyć z córkami kochanej ojczyzny. Ja kocham ojczyznę i dla tego ożenię się z cudzoziemką, aby przywiązać ją do naszej sprawy. Ja jestem demokratą! a więc ożenię się z pewną węgierską córką drelicharza, mającej trzykroć sto tysięcy w monecie srebrnej.... ja...

— Czekaj Felixie, to warte nowego zdrowia, niech żyje drelicharka i jej posag!

— I jako prawy syn ojczyzny, kończył pan Felix, użyję tych pieniędzy na wielką chwałę kraju mego....

— Doskonale, wrzasnął.. aprobuję plan.. Wiwat! niech żyje prawy syn ojczyzny! wraz z spolszczoną drelicharką! —

Na tem stanęło. Piąta z kolei bardiówka prezydowała rozwiązaniu sejmowemu. Lecz po uchwale zapadłej przyszła kolej na obmyślenie środków, ażeby tę jednogłośnie zadecydowaną uchwały czem prędzej w życie wprowadzić. A rzecz to była nie mała, bo szło tu o otworzenie kredytu, czyli o ten nervus rerum gerendarum, tak niezbędny na wyekwipowanie się należyte, na pokrycie wydatków podroży i innych już antycypowanych.

Zamilkli obydwa i natężyli umysły swe. Natężenie było dzielne, znać to po wypróżnionych butelkach. Twarz Felunia mocno się zasępiła. Z tej chwilowej zadumy zbudził go Józef.

— Myślisz brać się do Węgierki, a nie bierzesz się do Węgrzyna, utop troski w szlachetnym sąsiedzie, bo ta blada twarz nie przystoi konkurentowi.

— Dumam nad tem, czybyś ty swoim talentem mieniania aktów na pieniądze nie poradził mojej cierpiącej kieszeni?

— Wszak miałeś jeszcze zeszłego roku pszenicę i żyto niemłócone.

— Zasekwestrowane za podatki.

— A raty karczem od Jankla?

— Posłałem za najmłodszą siostrę do Staniątek.

— No to za pacht krów?

— O sancta simplicitas! ty mówisz o pachcie krów. Necque locus! uczyli mnie za młodu. Matka pojechała do Krakowa za sprawunkami.

— Trzeba więc wypuścić naprzód gorzelnię.

— Niby ja o tem nie myślałem, lecz, jak na złość, nie trafia mi się żaden żyd. Ten drab Moszko, który przeszłego roku gorzelnię trzymał, psuje mi wszędzie. Rozgłasza łajdak, że zamiast siana brzeżnego dawałem mu zamulone szuwary, a zamiast suchych sągów bukowych, świeżo rąbane osikowe gałęzie! Wystaw sobie!

— A to potwarz okropna! wszak to dawałeś co miałeś!

— Ty żartujesz a ja chcę rady.

— Radźmy więc, bo nie uwierzysz jak mnie oburza to systematyczne spotwarzanie naszej szlachty, wykonywane przez starozakonnych. Radźmy, dodał nalewając pełną szklanicę i przypatrując się złotej wina obrączce.

— Pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy!

— Jak mówił Montekukulli, podobno i dobrze mówił. Cierpliwości tylko, będą pieniądze! Jadąc tu, w mieście dowiedziałem się, że rozpisana jest licytacja na klepki do żup, na poręcze i mosty do dróg cesarskich. Wprawdzie dotąd żydzi tylko korzystali z dobrodziejstw licytacyjnych. Lecz czas przyszedł reform zbawiennych! Słuchaj i uważaj Feluniu drogi!

— Słucham i uważam.

— Byłem tedy na winie u Leibka z bardzo porządnym człowiekiem, który mi zaręczał, że gdyby który szlachcic chciał się podjąć tej dostawy, nawet pierwszeństwo przed żydami mieć będzie, byleby wszelkim wymaganym warunkom sumiennie zadosyć uczynił.

Pojedziemy więc razem do miasta i porozumiemy się bliżej. W skutek porozumienia zalicytujesz całą cyrkułu potrzebę, wyrąbiesz zamiast jednej sekcyi lasowej cztery jeśli tego będzie potrzeba, weźmiesz na rachunek dostawy choć czwartą część z góry, a kiedyś tam oddasz zakontraktowane drzewo.

— Kiedy w całym lesie naszym nie znajdziesz ani jednej klepki.

— A od czegoż klepka w głowie?

— Od granicy tylko stoi jeszcze kilkanaście dębów, jak stracone pikiety obozu.

— Jeszcze przez twojego ojca zwiniętego.

— Ze względów strategicznych.

— Naturalnie! niedarmo twego ojca tytułują pułkownikiem. Lecz tu nie idzie o drzewo, tu idzie abyś dostał pieniądze.

— A jak nie dostawię, będę miał proces z cyrkułem.

— Ty jeszcze nowicyusz mój Feluniu! posłuchaj mnie, który przecie nie darmo nad kodeksami ślęczałem. Proces to facecja, arcydługa procedura zasłoni cię na długi czas. Jeżeli nie dotrzymasz kontraktu dostawy drzewa, to wrócisz antycypowaną sumę, z którą wyprosisz się na raty, a takową powolnie spłacać będziesz posagiem spolszczonej drelicharki.

— Niech cie uściskam, wielki człowieku. Jak się ożenię, postawię po śmierci twojej spiżowy pomnik, pamięci twojej poświęcony.

— A tymczasem: Niech żyje wyprawa na Węgry!

— Wiwat! Żyj ty radykalny lekarzu moich suchot kieszeniowych!

Wypada nam tu wytłumaczyć zkąd urosła w głowie pana Felixa ta wielka i patryotyczna myśl: zreformowania węgierskiej drelicharki. By to zrozumieć muszę wam koniecznie opisać rodziców pana Felixa.

Ojciec jego pan Adam Chromacki byłto sobie, co do obyczajów szczerych i otwartych, co do gościnności staropolskiej szlachcicem prawdziwym starej daty. Co zaś do skrupulatnej poczciwości względem dotrzymania słowa danego, sposobów rozmaitych nabywania pieniędzy i t. d. przejął on się już manierami nowego towarzystwa, więcej postępowego. Był on niby uosobionem sparowaniem wieku ośmnastego z dziewietnastym. Humor miał zawsze wesoły, niczem się nigdy nie frasował, i w każdej złej przygodzie ratował się przysłowiem „*Jakoś to będzie!*" I w rzeczy samej zawsze to jakoś było.

Kiedy jeszcze był kawalerem, nie odziedziczywszy po podupadłych rodzicach nic, prócz herbu, zdrowia, urody, pustej kieszeni i pustszej nadto głowy, pojechał do familji, jeździł sobie rzemiennym dyszlem, i nie turbował się wcale o przyszłość, powtarżając każdemu: Jakoś to będzie! I miał racją, bo jeżdżąc od komina do komina z protekcji familji, któraby rada była wędrownego krewniaka w jednem i stałem jakiem ulokować miejscu, ożenił się z dziedziczką nie zadłużonej n o t a b e n e jeszcze w ówczas Wyżniowy. Byłato jedyna w całej okolicy stara panna, i jedyna w swym rodzaju grymaśnica. Była zaś nią i z wieku i z urzędu, bo jako hrabianka z domu, męża szlachcica oczywiście swą ręką uszczęśliwiła, zniżając się w hierarchii społecznej o jeden stopień. Lecz że to pochodziło z najczystszej miłości a tak uszczęśliwiony małżonek, aby miał zawsze na pamięci *jasny* dowów poświęcenia się żoninego, podpisywała się zawsze i wszędzie: Madame Chromacka neé Comtesse Targowicz!

(C. d. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

Dorobkowicze.

(Ciąg dalszy.)

I Andzia ze świecą w ręku szła do mnie, gdy ja kontent z pozwolenia przebiegłem salon, instynktem kierowany, wziąłem się na prawo i wyprzedzając malutką poko

jówkę, wszedłem do p. Teodozji, ukłoniłem się i postępując bliżej, przestraszyłem się wykrzyknikiem ach! ah!, który wypuściła z ust swoich panna, lekko główkę nachylając ku klawiszom. Zmięszałem się, spojrzałem w około siebie, wszystko jak należy, patrzę na siebie, a do licha nie jestem jak należy! Nie tracąc jednak odwagi przysuwam się do fortepiunu, świecę tak stawiam, żeby cały pokój i ja był w półcieniu, a śmielszy wtenczas, zaczynam dziękować p. Teodozyi i prosić o powtórzenie Lucyi.

Panna ubrana w biały szlafroczek, w drobne papilotki, z mdlejącem oczkiem, dość była dla mnie ładną, a nawet ponętną, bo przy słabem świetle na jej osobę padającem, zmarszczki pod oczkiem i noskiem znikły, cera czerwona i namiętna złagodniała, i wszystko co mogło wydać 25 roczek p. Teodozyi znikło w cieniu. Tak niestety! miałem spiewać duet o godzinie 12tej w nocy z panną 25 letnią! bogatą, lecz córką dorobkowiczów, którzyby chcieli wydać ją z pozłacanem sercem, z pozłacaną głową, za hrabiego lub księcia, choćby z drewnianą koroną, lecz i takich jakoś dotąd znaleść nie mogli.

Panna Teodozya tedy zaczęła powtarzać Lucję, a ja odwracać krawat kokardą na przodek, gdy skończyła, zmusiła mię usiąść i wziąć się do spiewu. Usiadłem opierając się o boki fortepianu, i upewniwszy p. Teodozją, że śpiewam zanadto silnym basem, huknąłem jakiś kawałek z Roberta Djabła. Panna Teodozya aż stęknęła, tak się mocno przeraziła uderzeniem w klawisze i silnym głosem wydobytym z mojej piersi, dopiero gdy ochłonęła z pierwszego wrażenia, połączyła swój głosik piskliwy z moim grzmiącym basem, i był duet!

Jeszcześmy nie doszli do połowy sparodiowanej aryi, gdy we drzwiach zjawiły się dwie figury, otulone w szlafroki, w czepki i berlacze, byli to pp. M.; Uciąłem śpiew, bom się śmiać musiał, gdy głowy pp. M. ustrojone w czepki z falbanami, sięgającemi do szerokich kołnierzy od nocnych koszul, otoczyły moją głowę. Zmuszony byłem opowiedzieć im jakim sposobem znalazłem się w pokoju panny Teodozyi: — na co p. Mateusz, — poprawiając sobie czepek, odpowiedział; — A to wirtuozka, — nieraz ona wszystkich budzi swoją passją do muzyki. Bo też ona gra nadzwyczajnie — to tak zagra że aż ci łzy wyciska, to znowu że cię tańcować zmusi — a szczególniej lubi grać w nocy. Musiałem kupić aż dwa instrumenta, jeden do salonu, a drugi do jej pokoju na noc. To szczególność, to talent ogromny — muszą o nim co wspomnieć w gazetach a czy tybyś kochany sąsiedzię nie był łaskaw co ułożyć na naszą Todzię — tyle pisujesz, tyle drukujesz — mówił p. Mateusz całując mię w policzki i osłaniając twarz falbanami od czepka.

— Ja nic a nic nie piszę! zawołałem przestraszony prośbą p. Mateusza.

— Jak to nic? masz tyle książek, taką bibliotekę i nic byś nie pisał.

— Nic a nic nie piszę.

— No to dla mnie zrób i napisz jaki piękny artykulik z pochwałą dla naszej Todzi... i znów mnie pocałował w drugi policzek.

— Zrobię to dla szkolnego kolegi i napiszę piękny, długi, nawet wierszem, artykuł pochwalny o talencie p. Teodozyi — rzekłem z udaną powagą.

— Jakto o mnie będzie drukowano? — zapytała p. Teodozya z iskrzącemi się oczyma.

— Z pewnością pani — i przysiągłem położeniem ręki na sercu, a z tej przysięgi i diabli zaśmiać się musieli.

Wszyscy byli w złotym humorze, i pani Mateuszowa tak mi blisko i serdecznie dziękowała, że aż odsuwać się od niej musiałem; bojąc się pocałunku wdzięczności od tej ogromnej pani.

Jakoś się przecie skończyła ta dziwna nocna scena, zamknąłem fortepian, otulając się surdutem wychodziłem z pokoju p. Teodozyi. Przy drzwiach pp. M. robili mi pierwszeństwo a ja im; nareszcie godząc sprawę, wziąłem pod rączkę p. Mateuszową i przeprowadziłem przez próg pokoju, potem poszedłem do gościnnego pokoju, do którego poświeciła mi malutka pokojówka p. Teodozyi, Andzia.

Nie myśl żeby ta cała scena była ukartowaną — bo znasz moją urodę, moje lata i herb, w którym nie dopatrzysz śladu hrabiowskiego pochodzenia; nie można więc sądzić, aby przeletnia p. Teodozja owemi nadzwyczajnościami nocnemi chciała mnie usidlić. Była to zwykła głupota klassy dorobkowiczów, którzy chcąc się gwałtem odznaczyć, silą się na wszystkie niedorzeczności, będące w ich oczach kwalifikacyami na ludzi znakomitych w powiecie, ba! i w kraju całym.

U nas tak jak wszędzie grają i tańcują na wyścigi, Nie ma domu obywatelskiego, szlacheckiego, w którymby nie było fortepianu, choćby ustawionego w pokoju wilgotnym, poczerniałym, z podłogą pokoślawioną i sufitem belkowanym; w miasteczkach nie ma familii trochę zamożniejszej, w której by nie było choć jednej osoby, mówiącej po francusku i grającej na fortepianie — to też wszędzie pełno fortepianów nauczycieli, nauczycielek muzyki. Za bezcen dziś można się grać nauczyć; wiem z pewnością, że w pewnem mieście godzina lekcyi muzyki płaci się po 4 kr., hojniejsi płacą po 5!! A nauka nie zła, bo elew po roku umie już wygrywać polki, mazury, krakowiaki.

W takim więc czasie, w którym wszyscy grają, odznaczenie się w muzyce jest bardzo trudne, to też ci, co koniecznie chcą się odznaczyć, a nie mają na to dość zdatności, uciekają się do dziwactwa i szarlatanery — do tych liczby należą pp. M. Zasłyszeli, że do dobrego tonu należą dziś talenta, gwałtem więc wmówili w p. Teodozyę,

że ma talent, że gra wyżej nad cały powiat. Panna w skromności swego 25 letniego ducha poczuła natchnienie, a że nut pisać nie umiała, bo się nieuczyła jenerał (pułkownik, kapitan, jak p. Mateuszowa często przez pomyłkę nazywała) basu, improwizowała więc, parodjując najnieudolniej utwory mistrzów. Dla większej oryginalności odbywały się owe nocne muzyki i kocie śpiewy, — przez które imię p. Teodozyi stało się imieniem improwizatorki i wirtuozki na wielką skalę!. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* Wyścigi konne w Warszawie odbyły się jak zawsze z wielką świetnością i przy licznie zgromadzonych tłumach. Z sprawozdań jakie w tej mierze dają dzienniki warszawskie przekonać się można, że tam wyścigi wpłynąć musiały już niemało na poprawę rasy koni krajowych. Czytamy bowiem pomiędzy współubiegającemi się mnóstwo nazwisk znajomych rodzin polskich. Odbyło się gonitw kilka, w których prócz prywatnych zakładów, dobijano się o nagrody samego towarzystwa, i o nagrody rządowe dosyć znaczne. Stawki pojedyncze bywały po 25 dukatów, Najlepsze zapewne konie musiał mieć p. Adam Krasiński, który kilkakroć na rozmaitych swoich zwyciężał koniach; mianowicie dwa puhary śrebrne, jako nagrodę rządową wygrał naprzeciw konia hrabiny Augustowej Potockiej. Odznaczyły się także konie hr. Wołłowicza, hr. Zamojskiego, i hr. Branickiego. Zakończył nareszcie gonitwy, najpraktyczniejszy podobno ze wszystkich wyścig włościański, przeznaczony wyłącznie dla Wałachów. Nagroda towarzystwa wynosiła r. s. 30.

Pięciu było współzawodników, i rzecz dziwna, wszyscy z jednego miejsca: z Czerniakowa. Niejaki Kuba Nadolski, wygrał na koniu Jaśka Grochola. Najwięcej zajmującem było zdarzenie hr. Konćtantego Branickiego, który w niem dowiódł swojej prawdziwie sportmanskiej zgrabności.

Wystawiony był w szrankach jako przeszkoda, płot mający cztery stóp wysokości. Pierwszy przesadził go kilka razy hr. Władysław Zamojski z wielką śmiałością, mimo że koń nie dawał się łatwo powodować. Tymczasem żokej Chapman siedząc na pysznym koniu hr. Branickiego, jednym z najpiękniejszych koni na wyścigach tegorocznych, próbował także przeskoczyć tę zaporę, ale nadaremnie, snać nie umiał zażyć konia. Widząc to hr. Konstanty, Branicki sam dosiadł swojego konia, lekko go zażył i koń też jakby zmiarkował że prawdziwego dźwiga na sobie jeźdzca, przeskoczył tej chwili i to lekko, bez wysilenia i oporu. Już to u nas nigdy podobno nie brakowało na dzielnych jeźdcach, chociaż dawniej w Polszcze nie sniło się nawet o angielskich wyścigach, a o spartmanostwie najmniejszego nie mieliśmy pojęcia.

* Najjaśniejszy Pan dnia wczorajszego przybył do Czerniowiec w poniedziałek stanie w Stanisławowie, a we środę w Stryju.

Z dzisiejszym Numerem kończy się pierwsze półrocze i pierwszy tom Nowin za r. 1855. Do tomu pierwszego w połowie lipca przeszlimy prenumerantom kartę tytułową i spis rzeczy.

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY" Nr. 77 z roku 1855.

TADEUSZ UZIĘBŁO

właściciel handlu towarów bławatnych

WE LWOWIE.

urządzi i w tym roku podczas jarmarku

W UŁASZKOWCACH

swój tameczny magazyn naprzeciw 3ch cukierni

i zaopatrzy go we wielką rozmaitość i wybór najnowszych i gustownych

TOWARÓW BŁAWATNYCH

Przytem mieć będzie główny skład

PŁÓCIEN

ze znakomitej fabryki **Józefa Karola Kostiale** w **Hohenelbe** i wszelkie inne gatunki płócien z rozmaitych fabryk krajowych i zagranicznych.

Polecam się także z obfitym wyborem:

płóciennych chustek

i

Bielizny stołowej prawdziwie saskiej.

Niechcąc naśladować obwieszczeń obcych szarlatanów, ograniczam się na oświadczeniu, że sprzedaż będzie rzetelna, płótna i bielizna stołowa czysto lniana, a ceny słuszne. (122 3—4.)

Doniesienie handlowe

Jana H. Brühla

we Lwowie pod białym psem.

Świeżo nadeszłe wody mineralne drugiego transportu, wszelkie gatunki towarów korzennych, herbata prawdziwa karawanowa z kwiatem, funt to jest 32 łuty a nie 28 jak w innych paczkach się przydarza, sprzedaje po 3 i 4 złr. m. k. a przy kupnie 10 funtów razem dodaje jeden funt **gratis.**

Wielki wybór win zagranicznych i krajowych, najlepsze wina szampańskie: Cabinet Verzenay, Sillery jako też tak bardzo ulubiony szampan **Clicquot**, wyborne wina z Bordeaux, Sherry czyli Xeres, Madeira, Malaga i Reńskie; oprócz tych wielki zapas czystych, niezfałszowanych win węgierskich, austryackich i feslauerskich, kwarta po 32 kr. m. k.

Sery ementalskie, gorgonzolskie, chester, limburski, parmazański, groyski, cieszyński, jako też tak zwany ser zielony i prawdziwa bryndza węgierska.

Zagraniczne szynki westfalska i ozorowa, także znaczny zapas różnych innych towarów w wielkich i małych partjach **po nadzwyczaj zniżonych cenach.**

Za prawdziwe, dobre, świeże towary, sprawiedliwą wagę, ręczy tyle lat znany i akredytowany handel uniżenie podpisanego

J. H. Brühl.

DO FAMILII HORODYSKICH.

Ktoby posiadał wiadomość o familii *Kajetana Horodyskiego* we wsi *Brykuli*, w cyrkule Tarnopolskim z ojca *Franciszka* zaś z matki *Małgorzaty z Czajkowskich* małżonków między 1790—1791 r. urodzonego, który w 1809 r. kraj swój rodzinny opuścił, raczy takową z powodu zajść sukcesyjnych udzielić do *Bióra wywiadowczego Wincentego Łempickiego, ajenta upoważnionego pod liczb. 67 w krakowskiej ulicy, w domu P. Stengla we Lwowie.* (120 2—3)

Nakładem księgarni **H. W. Kallenbacha** we Lwowie wyszedł:

Wykład

DZIEJÓW POLSKICH,

dla dzieci od lat siedmiu do dwunastu,

przez

MACIEJA ŁOMŻĘ.

Cena 45 kr. m. k.

(84. 10)

Podpisana

REPREZENTACYA DLA GALICYI

ces. król. uprzywilejowanej Tryestińskiej

AZIENDA ASSICURATRICE

WE LWOWIE

zabezpiecza równie jak w zeszłym roku

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH

PRZEZ

GRADOBICIE

wyrządzone,

bezpośrednio w biórze przy ulicy Pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175 2/4, lub też przez ajentów na prowincyi, na podstawie funduszu towarzystwa t. j.:

Wypłacając zabezpieczonemu całkowitą szkodę zabezpieczoną.

Też sama **Reprezentacya**, jakoteż jej **Ajenci** na prowincyi udzielają **Żądającym zabezpieczenia** potrzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **Szanownych Stron** odpowiada **Reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii**.

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

1) Nazwę miejsca, t. j. miasteczka lub wsi;
2) jak dawno zabezpieczenie Żądający w miejscu zamieszkały;
3) czyli można **z pewnością podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miejsca gradobicia, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich **osmiu latach**;
4) czyli sam poniósł w tymże miejscu szkodę;
5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemiopłody nie zostały już gradobiciem, mrozami lub innym sposobem uszkodzone.

Co do kawałków pól w szczególności:

1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemiopłodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego pola, tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piorem — pojedyńczo zrobiony — może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
2) Ilość morgów i korcy wysiewu z oznaczeniem gatunku ziemiopłodu.
3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na nulę.

We Lwowie, w maju 1855.

1szy Sekretarz:	*2gi Sekretarz:*
Leon Ostrowski.	**Konstanty Wodecki.**

Uwagi godne doniesienie jarmarkowe.

WYPRZEDAŻ

wielkiego zapasu płócien prawdziwych

I NIESŁYCHANIE TANICH,

w wielkim składzie towarów płóciennych Gottlieba i Beyera z Wiednia, podczas jarmarku w Ułaszkowcach.

Ażeby wyprzedaż tę powszechnie oznajmić, ośmielamy się niniejszy spis cen ogłosić, któren zapewne wszelkim wymaganiom odpowie, z dodaniem uwagi, że mianowicie dla osób prywatnych rzadko zdarzy się sposobność do nabycia trwałego płótna po tak słusznych warunkach.

Że zaś jako obcy i nie znani wymagać nie możemy zupełnego zaufania, zwłaszcza że zaufanie Publiczności do wyrobów płóciennych przez nierzetelność i różne oszukaństwa ostatniemi czasy bardzo osłabionem zostało, więc oznajmiamy dla zabezpieczenia nawet owych kupujących, co się na płótnie w cale nieznają że za płótna swe ręczymy i

50 dukatów w złocie wypłacemy temu

kto nam w jakimkolwiek od nas kupionem płótnie pokaże choćby odrobinę bawełny.

CENY STAŁE,

z których w żaden sposób nic się nie spuszcza, są następujące:

Tuzin białych chustek od nosa	od 3 złr.	i coraz wyżej	Sztuka płótna z nici na 12 koszul, 55 łokci	od 12 złr.
Tuzin serwet do herbaty	» 1 złr.		Sztuka płótna cienkiego na 12 koszul. 56 łok.	« 14 złr.
Obrusik do kawy	» 1 złr.		Sztuka weby płócien. $^6/_4$ł szer. 66 ł. z przędz. ręcz.	« 20 złr.
Łokieć ręczników	» 7 kr.		Sztuka przedniej holend. weby dto. dto.	24 złr.
Tuzin szarych ręczników	» 2 złr.		Sztuka przedniej Irlandz. weby dto. dto.	« 28 złr.
Obrus wielki bez szwu	» 2 złr.		Sztuka konstancyjskiego koronowego płótna dto.	« 32 złr.
Sztuka płótna z białej przędzy 39 łok. .	» 7 złr.		Sztuka weby batystowej dto. dto.	« 60 złr.
Sztuka płótna tęgiego 48 łok. . .	od 9 złr. 30 kr.		Sztuka rumburskiej weby $^6/_4$ł. szer. 70 ł. dto.	« 24 złr.

i coraz wyżej

Płótno na prześcieradła bez szwu, 3 łokcie szerokie, bielizna stołowa wszelkiego rodzaju na 6, 12, 18, 24 osób z przędzy, drelichu i adamaszku, poszewki na poduszki, chustki od nosa niciane, kolorowe i prawdziwe francuzkie batystowe, wszelkiego rodzaju obrusiki do kawy, niciane, wełniane i jedwabne przedają się stosunkowo jeszcze taniej.

Dla prędszego wyprzedania dodaje się przy sprzedaży towarów na raz za **Sto złr.**

BEZPŁATNIE

1 obrusik do kawy z sześciu stosownemi serwetami, 1 wielki obrus bez szwu, pół tuzina ręczników i pół tuzina białych płóciennych chustek od nosa.

Miejsce sprzedaży w Ułaszkowcach, w sklepie Nr. 125. naprzeciw cukierni pana Żółkiewskiego.

(125. 3—4) **Gottlieb & Beyer,** z Wiednia.